

Warszawa dnia 22 Lutego / 6 Marca 1867 roku.

Nr 10. Cena w Warszawie **20** kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych **75** kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok III.

TREŚĆ.—Fryderyk Skarbek, przez *Wład. S.*, (z portretem). — Życie i Nadzieja czyli Chart i Zając, wiersz, napisał *Jaśko Puchacz.* — Dziwni ludzie, powieść, napisał *Wołody Skiba*, (ciąg dalszy).—Sowa, przez *Lucjana Paprockiego*, (z drzeworytem).—Podróżny i kamień, (bajka),—Korrespondencja od Redakcji Opiekuna Domowego.—Rozmaitości.—Zagadka.—Myśli i Zdania.—Podsłuchane gdzie się zdarzy.

FRYDERYK SKARBEK.

W dniu 25 Listopada r. z. umarł w Warszawie w podeszłym wieku człowiek, o którego życiu i różnostronnej działalności, wiele napisaćby można. Związani ramami naszego pisma, podamy tu tylko kilka szczegółów z jego czynnego i dobrze zasłużonego żywota.

Fryderyk Skarbek był wysokim urzędnikiem, uczonym i jak to teraz nazywają belletrystą, to jest autorem piszącym powieści, utwory dramatyczne i t. p. Według tych różnorodnych stanowisk jakie zajmował, działalność jego rozpada się też na trzy wielkie działy, z których każdy oddzielnie rozpatrywanym być powinien i każdy sobie właściwe tytuły do pamięci zostawia.



Fryderyk Skarbek.—(Rys. Kozarski—Wyciął na drzewie Gorazdowski).

Najtrudniej podobno zdać tu sprawę z zasług urzędnika, lubo te w życiu ś. p. Skarbka, były nieledwie najważniejszemi. W wielkiej machinie administracji krajowej, działalność pojedyńczych jej części, kół większych i mniejszych, nie jest łatwą do ocenienia, tak jak w orkiestrze wykonywającéj dzieło muzyczne, zasługa pojedyńczego członka. Widzimy skutek ogólny; sposób zaś w jaki do tego skutku doszło, powiększéj części jest dla nas zakryty i inaczej być nie może, a dla czego tak być powinno, tłumaczy najlepiej owo porównanie orkiestry do machiny, do zegarka naprzykład, w którym nie idzie o to kto zrobił tamto kółko, a kto tę sprężynę, tylko o to, żeby całość regularnie wskazywała godziny.

Słusznem jest jednakże cześć odpowiednio większą zasług zbiorowych przypisywać temu, kto przewodniczy pracy, bo takiemu służy prawo wyboru tych z przedstawionych sobie pomysłów i projektów, jakie za najlepsze uzna, bo takiemu wreszcie, jeżeli sam rzuca myśli nowe, najłatwiej je w życie wprowadzić.

Z tej zasady wychodząc, wiążemy imię ś. p. Fryderyka Skarbka do wielu pomysłów i ulepszeń, jakim ze swego stanowiska urzędowego przodował i do wejścia w życie dopomógł, przypisujemy je tymbardziej, że będąc mężem wielkiej nauki, sam najwięcej rzucał pierwsze pomysły do nowych instytucij i reform, które pod jego kierunkiem i w zakresie jego władzy zaprowadzonemi zostały, a pomysły innych umiał trafnie oceniać i w razie potrzeby wskazywać, w czem je uzupełnić należało.

Wspomniemy tu tylko kilka tego rodzaju instytucij i ulepszeń, z których zaprowadzeniem, imię Skarbka związało się w ten sposób: reformę więzień, kassy oszczędności, rozwój instytucij ubezpieczeń.

Przez długie wieki ani pomyślano o tem, żeby winowajcy w więzieniach mogli być przedmiotem starań i uwagi ludzi dobroczynnych i myślących. Chrześcijańskie miłosierdzie przynosiło im niekiedy słowa pociechy i podawało dłoń pomocną, lecz o uorganizowaniu więzień na sposób kładący kamień ich męczarniom fizycznym i moralnemu zepsuciu, pomyślano dopiero w drugiéj połowie zeszłego wieku. Pierwszy Howard Anglik, rzucił skutecznie tę myśl. Reforma więzień, jej myśl pierwsza, wieku ledwie istnienia dobiega. Znacznie dopiero późniéj wyrobiło się pojęcie, że więzienie nie tylko jest miejscem kary, lecz

powinno być także miejscem poprawy. Jeżeli człowiek w gruncie zepsuty nie wychodzi z niego lepszym, to niepowinien przynajmniéj wyjść gorszym. Jest więc obowiązkiem społeczeństwa odsunąć od niego wszelkie sposobności zepsucia i o ile możności, kary i cierpienia fizyczne, zacierające w nim godność własną, zastąpić moralnemi, których siedliskiem i źródłem jest własne sumienie winowajcy, pozostawionego samotnym rozmyślaniom. Ztąd powstały ulepszone systematy więzienne, z których dotychczas systemat zupełnego odosobnienia tak zwany *celkowy*, za najlepszy jest uważany.

Dawniej pakowano razem zatwardziałych zbrodniarzy z ludźmi młodymi, początkującymi dopiero na drodze występku; dawniej więźni wysyłano na miasto do robót, a więzień wystawiony na szydercze uśmiechy mieszkańców, zacierał w sobie poczucie godności, tracił wstyd, twardniał w złem i po wyjściu z więzienia w miejsce poprawionego, na dobre stawał się poprawionym na złe, bo starzy zbrodniarze zmięszani z niedorostkami, byli gorliwymi nauczycielami złego.

Nauka, filantropja, zdrowy rozsądek, zaprotestowały przeciwko temu. We wszystkich krajach pracować zaczęto nad zreformowaniem więzień, zaczęto podobnież i u nas, a imię Skarbka przywiązanem jest do tej reformy nieodłączenie.

Nie wszystko i wszędzie odrazu zrobić można, to też w żadnym prawie kraju systemat celkowy stanowczo i zupełnie przeprowadzonym nie został, i wszystko co dotychczas zrobiono zależy na tem, aby ile możności zbliżać się do niego; godzi się jednakże i to co już zrobiono ważną nazywać reformą. Ustało lub zmniejszyło się znacznie wysyłanie więźni na roboty na miasto, systemat odosobnienia zaprowadzonym został chociaż przynajmniej dla ważniejszych przestępców, gdzie zaś zaprowadzonym być nie mógł po prostu dla braku miejsca i odpowiednio zbudowanych gmachów, tam więźniowie którzy pierwszy raz są skazani, nie mają stosunków ze skaranymi powtórnie czyli niepoprawnymi zbrodniarzami. Co największa i co chlubę nam przynosi, to ta okoliczność, że obwinieni trzymani są oddzielnie od skazanych, a to już od 1835r. czyli od czasu ukończenia warszawskiego Domu Badań. U nas zatem *najpierw w Europie*, przyjętą została i w czyn wprowadzoną ogólnie dziś uznana zasada, że oskarżonego który często zostaje pod zarzutem najniewinniej, niegodzi się osadzać razem z wytrawnymi nieraz złoczyńcami, narażając go, jeśli ma w sobie nieco złych skłonności, na ostateczne zepsucia, a jeśli ich nie ma na całą przykrość i ohydę obcowania i stosunku z ludźmi często wyzutymi ze wszystkich szlachetnych uczuć i wyuzdanymi zupełnie. Przyznali nam pierwszeństwo tej reformy cudzoziemcy, a mianowicie Inspektorowie naczelni więzień w Anglji, Cracoford i Whitworth Russel w raporcie w 1838 parlamentowi złożonym, z dołączeniem planu Warszawskiego Domu Badań.

Inną instytucją dziś już ćwierć wieku blisko kwitnącego istnienia liczącą, podobnież zawdzięczamy Skarbkowi. Mówimy tu o Kassie Oszczędności, do której on myśl podał i która zastąpiła od 1844 r., dawniejsze Towarzystwo oszczędności, będące czemś pośredniem między właściwą Kassą Oszczędności a kassą depozytową i przez urządzenie swoje niedogodne dla biednych klass ludności.

W chwili powstania tej kassy, lękano się, czy ona u nas zyska powodzenie, okazało się przecież, że się obawiano niesłusznie. W końcu pierwszego roku istnienia, już kassa liczyła 2,734 uczestników, którzy w niej posiadali 58,844 rub. 71 kop., czyli złp. 392,298 gr. 2 kapitału. Był to wypadek nadspodziewanie pomyślny, gdyż instytucje tego rodzaju w ogólności w pierwszych chwilach, budzą nieufność. Tak np. w Paryżu w r. 1818 kiedy otwieraną pierwszą kassę oszczędności, pomimo zapewnionego procentu 5% było tylko w pierwszym roku 505 składających, którzy wnieśli razem ledwie 54,876 franków (13,619 rsr.) Nasza kassa płaci 4% tylko i dziś oprócz Warszawy, mamy także na prowincji kilkanaście takich kass oszczędności, a w nich złożonych pieniędzy przeszło cztery miljony złotych. Bezwątpienia nie wielka to jeszcze summa, chętniej i gorliwiej zaczęliśmy od zagranicy, ale zagranicą dziś kassy posiadają w ogóle setkami miljonów, jest przecież nadzieja, że z czasem summa ta znacznie się zwiększy. Jak się złoży dwa złote, to ta dwuzłotówka ma jakiś magnes w sobie i niewiadomo kiedy przyciągnie za sobą kilkaset.

Ś. p. Fryderyk Skarbek był przez długie lata Prezesem Dyrekcji Ubezpieczeń, która u nas dobrze urządzona, przewyższała pod wieloma względami najrozmaitsze za granicą istniejące współki asekuracyjne, będące wprost spekulacyjnemi instytucjami, na dobre procentowanie kapitału zakładowego obliczonemi. Rozwój ubezpieczeń wszelkiego rodzaju w kraju naszym, jest zatem także w znacznej części ś. p. Skarbka zasługą.

Oprócz tego urzędu, Skarbek prezydował także w Radzie Głównéj Opiekuńczéj Zakładów Dobroczynnych, a ostatecznie do r. 1858 był Dyrektorem Głównym w Komissji Rządowéj Sprawiedliwości.

Jako uczony, Fryderyk Skarbek zostawił także po sobie znakomite imię. Był on profesorem w b. uniwersytecie warszawskim i pierwszy prawie w języku polskim wydał obszerniejsze dzieło o ekonomji politycznej, nauce społecznej, traktującej o bogactwie krajowem.

Powieści i komedje Skarbka doznawały w swoim czasie zasłużonego powodzenia i po kilka miewały wydań. Z pierwszych wymiemy tutaj *Pamiętniki Seglasa*, z drugich, niejeden może z czytelników naszych przypomni sobie najmniej sto razy na scenie Teatru Rozmaitości przedstawioną *Zofję Przybylankę*.

Czynny do ostatniej chwili, wysłużywszy na urzędzie emeryturę, Skarbek nie porzucił pióra. W roku zeszym jeszcze wyszła w Poznaniu jego powieść *Olim*, a w czasopiśmie *Kłosy* powiastka *Cztery Miniatury*.

Z tych kilku rysów poznać już łatwo, jakiem być musiało całe to długie i pożyteczne życie człowieka, który czynem, słowem i pragnieniem, dążył do pomyślności swych ziomków i który zasłużył, aby potomność wspominając o nim, westchnęła szczerze do Niebios za jego duszę. *Wład. S.*

ŻYCIE I NADZIEJA.

czyli

Chart i Zając.

Czytałem ongi w hiszpańskiej powieści,
Że pewien młodzian pytał dobrodzieja:
Co to jest życie? a co jest nadzieja?
On na to: właśnie odpowiedź się mieści

Na twe pytanie w gawędzie ludowej,
O ile pomnę następnej osnowy:

Był chart — tak śliczny że myśliwca dusza
Na jego widok z uciechy aż drżała,
Sam bożek łowów tym cudem się wzrusza
I mówi: „Charcie! tobie wieczna chwała;
Ponieważ jesteś wszystkich psów ozdobą,
Niech żaden zając nie ujdzie przed tobą!"

Traf chciał że w onczas, w tej samej krainie
Prześliczny zając szeroko zasłynie;
A bożek zwierząt zdziwion jego wdzięki,
„Przysięgam, rzecze, zajęcze maleńki,
Że cię nie dotknie pocisk ludzkiej dłoni
I pies cię żaden nigdy niedogoni!"

Spotkał pies kota — ruszył jako mgnienie
Ufny, że z kota będzie miał śniadanie;
Zając mknął żwawo, wierząc w upewnienie,
Że jego comber psu się niedostanie.

Żaden z dwóch bożków swoich słów nie zmieni,
Chociażby czekać niezliczone lata,
A pies z zającem pędzą jak szaleni
I pędzić będą, aż do końca swiata.

Otóż młodzieńcze — nadzieja jest kotem,
Człek za nadzieją pędzący — to goniec,
Ludzkość w tym pędzie okryje się potem,
A gonić będzie aż po świata koniec.

Jaśko Puchacz.

DZIWNI LUDZIE.

POWIEŚĆ.

(*Ciąg dalszy.* — Obacz Nr. 8 i 9).



V.

Wybawca.

Na trzeci dzień po przyjeździe naszego bohatera do Warszawy, o dobrym już zmierzchu dwóch ludzi wychodziło z przyległych sobie domów na Krakowskie-Przedmieście.

Jednym z nich był pan Michał, który po porządnym obiedzie opuszczał hotel Saski, pragnąc dla użycia przechadzki puścić się na bezcelową wędrówkę po ulicach, niewiedział bowiem wcale jeszcze coby lepszego z czasem zrobić było można; drugim, wychodzącym z chwilowego w jakiejś kawiarni wypoczynku, był pan Ignacy człowiek około lat czterdziestu mieć mogący, szczupły, wysoki, blondyn, z siwemi małemi oczyma, noszący wąsy i bródkę, w ogólności fiziognomji niezbyt przyjemnej, ubrany dość porządnie, w ciepłe palto kapelusz, niebardzo świeżo wyglądające, widocznie przybrukane nawet, ciemne rękawiczki, idący krokiem mającym w sobie coś co mimowolnie przypominało polkę *tremblante*, jak taniec ten naówczas zwano.

Jegomość ten szedł zwolna, siwemi oczyma rzucał w około bardzo szybko, a gdy wzrok jego spotkał oczy jakiej przechodzącej kobiety, to stawał się tak zuchwałym, że ktoby wówczas przypatrywał się jego twarzy, musiałby mimowolnie uczuć ten rodzaj instynktownej odrazy, jaką obudza zawsze oblicze człowieka, ilekroć przez jego oczy zwierzę wygląda.

Z początku przypadek tylko tak urządził, że pan Ignacy szedł za panem Michałem ku Staremu Miastu, wkrótce jednak oko jego wprawne jak się zdaje do tego rodzaju spostrzeżeń, wyróżniło fizjognomją sandomierskiego obywatela z pomiędzy innych przechodzących.

Uderzyło go przedewszystkiem ciężkie, podróżne futro i czapka kroju mniej pospolitego w Warszawie, potem ruch i postawa i w ogóle to wszystko, co prowincjonalistę świeżo przybyłego do miasta od stałych jego mieszkańców natychmiast odróżnić pozwala.

— Ignalku, baczność, — mówił pan Ignacy do siebie.

I jakby pragnąc się przekonać czy go domysły i obrachowania nie zawiodły, wyminął dość szybko pana Michała, później o kilka kroków przed nim zatrzymał się przed jakąś wystawą sklepową, przyjrzał mu się ukradkiem, dał mu przejść, a gdy pan Michał przeszedł, podążył za nim swym charakterystycznym chodem tak zupełnie, jak próżnujące niedorostki dążą krok w krok za spotkanemi na ulicy pięknościami.

Pan Michał był jak wiemy zaledwie trzeci dzień w Warszawie, a po raz pierwszy dopiero puścił się na ulicę samopas będąc pewnym, że choćby zabłądził, zawsze znajdzie dorożkę która go do hotelu odwiezie.

Przewidywanie prowincjonalisty zjiściło się bardzo prędko. Wkrótce tak się poplątał w sieci ulic i uliczek otaczających nasz stary rynek, że na żaden sposób nie potrafiłby zdać sobie sprawy w którą stronę iść by mu wypadło, gdyby nadzieja powrócenia dorożką nie pozostawała zawsze w odwodzie. Z tą tedy nadzieją, niekłopocząc się wcale tem że się zbłąkał, rad owszem że ruchu używa, szedł nasz bohater ciągle dalej, a mając nogi zdrowe i do długich przechadzek po polach i lasach przywykłe, szedł dosyć długo i daleko, nim o odwrocie pomyślał.

Pan Ignacy szedł ciągle za nim, w zbyt jednak znacznej odległości, żeby pan Michał mógł to spostrzedz.

Idąc pan Ignacy, klął w duchu.

— Ależ ma nogi, nogi, nogi!... do stu tysięcy, tęgie nogi!... Z Krakowskiego-Przedmieścia aż pod Muranów!..... A jakiemi ulicami jeszcze!.... djabliby plan narysowali!... I gdzie się to to wlecze?.... pilno mu pod okopy, najoczywiściej pod okopy mu pilno...

Mimo tych narzekań, jakiś czas jeszcze szedł pan Ignacy dalej, wkrótce jednak dość obfita jego cierpliwość wyczerpała się zupełnie.

— Pal że cię djabli, mój szlachcicu! — rzekł do siebie prawie głosno, — musisz być goły jak święty turecki, kiedy się tak włóczysz bez celu... żeby choć do kawiarni jakiej wstąpił!...

Splunął pan Ignacy z przekleństwem i nadąsany zawrócił.

Zaledwie przecież ze sto kroków w stronę przeciwną uszedł ten dziwny jegomość, co za prowincjonalną fizjognomją jak jaki Don Juan trotuarowy

za byle zgrabniejszą nóżką się uganiał, już inna myśl mu zaświtała.

— Boć jeśli goły, to dla mnie właśnie tem lepiej... Nie ma pieniędzy... znać że *frajer*, a bo to wie jak ich dostać... potrzebnym ja dla niego, widocznie mogę mu być bardzo na rękę.

Ktoby widział jak pan Ignacy szybko, z jakim dandzikowatym piruetem na pierwszą myśl że może być potrzebnym bliźniemu, rezygnował swoje zmęczoze nogi i puszczał się w pogoń za tym bliźnim, ten by poznał odrazu, że pan Ignacy był prawdziwym..... filantropem.

Tymczasem nasz pan Michał szedł ciągle dalej, uszedł kawał drogi spory, lecz na żadną znaną ulicę dostać się nie mógł, żadnéj dorożki, ba! nanawet żadnych prawie ludzi nie spotkał, gdyż ulica którą szedł bardzo mało zaludniona, po największej części parkanami tylko od ogrodów poodgraniczaną była.

Gniewać to trochę zaczęło pana Michała i postanowił pierwszego spotkanego przechodnia spytać o drogę.

Los chciał że tym pierwszym spotkanym, był jakiś człowiek dziwnie ponurego wejrzenia. Przechodząc koło pana Michała spojrzał on nań z pod oka, widać jednak było że go od stóp do głów zmierzył.

Był to drwal, ze wszystkiemi cechami swojego rzemiosła: workiem przez ramię, piłą przez plecy i siekierą pod pachą.

Pan Michał zatrzymał go pytaniem.

— A! gdzież to pan iść chce? — zapytał nawzajem drwal.

— Gdziekolwiek w środek miasta, zresztą gdziebądź dorożki stoją.

— Ha!... to tu nie daleko... niech pan pójdzie ze mną.

I człowiek z piłą poszedł dalej w tym kierunku, w którym pan Michał szedł poprzednio, a pan Szerepa dążył za nim dziwiąc się w duchu nieco, iż sam niewiedział o tem, że szedł tak dobrą drogą ku środkowi miasta.

Środka tego jednakże, jakoś wcale widać nie było.

W ciągu tej drogi, drwal szybko a zręcznie rzucał oczyma przed siebie i po za siebie, jakby rozpatrywał stanowisko.

Ulica była pusta.

Nie zmieniając w niczem swojej pewnej fizjognomji, człowiek ten znalazł nieco łagodności w głosie i zaczął ubolewać nad swą ciężką dolą. Ubolewanie to było razem prośbą o datek, w odmienny jednak sposób od zwykłych próśb tego rodzaju wyrażoną.

— Twardy chléb, ciężkie czasy, mówił drwal— ot i dałby pan co na piwo za to, że człowiek drogę pokażę dobrą... a kto inny to mógłby wyprowadzić w pole... hę?... da pan?...

Pan Michał miał dobre serce i prośbom nie zwykł był odmawiać, bez względu na sposób mniej lub więcej uniżony ich wyrażenia, sięgnął zatem do kieszeni i wydobył z niej portmonetkę grubo wyładowaną pieniędzmi.

Przewodnik pana Michała czekał widać na tę chwilę.

W jednej chwili silną ręką uchwycił za portmonetkę, nie dość jednakże szybko i zręcznie, aby ją mógł wyrwać z wcale muskularnej dłoni pana Michała, który w jednej chwili zrozumiał o co chodzi, lecz nie chciał się od razu poddawać napastnikowi.

Pierwsza chwila walki w ten sposób rozpoczętej, przeszła w najzupełniejszej ciszy.

Dwie silne dłonie szarpały portmonetkę w przeciwne strony, żadna z nich jednak nie przemogła.

Drwal syknął przez zaciśnięte zęby:

— Puść!...

Pan Michał puszczać nie myślał. Szarpnął znów ręką, lecz i tą razą nie mógł wyrwać zdobyczy z silnych rąk złodzieja.

— Puść, bo ci obie ręce odrąbię — krzyknął naówczas drwal.

I porwawszy lewą rękę siekierę, zamierzył się na pana Michała.

Szerepa zasłonił się ręką.

Już drwal morderczym ciosem ugodzić miał w napadniętego, gdy siekiera odmówiła mu posłuszeństwa inną dłonią z tyłu ujęta.

Był to, jak się łatwo domyślić pan Ignacy, który właśnie dochodził do tego miejsca, a spostrzegłszy o kilkanaście kroków szamotanie się dwóch postaci, zbliżył się cicho, niepostrzeżenie i pochwycił za siekierę w takiej chwili i w taki sposób, że drwal nie mógł tego przewidzieć, a więc i oprzeć się wyrwania siekiery nie był w stanie.

Tym sposobem siekiera została w ręku pana Ignacego, pieniądze zaś w ręku pana Michała.

Drwal rozbrojony, nie tylko nie mógł myśleć o dokonaniu swego zamiaru, lecz owszem obawiając się gorszego jeszcze końca téj sprawy, puścił się co nóg starczyło ku okopom.

Wybawca i ocalony przez chwilę patrzyli za nim, żaden z nich jednak nie pomyślał o pogoni.

W chwilę potem pan Michał spojrzał na swojego niespodziewanego obrońcę, a w chwilę jeszcze rzucił się na jego piersi z okrzykiem:

— Wybawco mój!... przyjacielu!...

Pan Ignacy, który się bynajmniéj tego rodzaju eksplozji wdzięcznych uczuć nie spodziewał i którego ten uścisk nagły niemal z nóg nie zwalił, wysuwać się zaczął i wykręcać z żelaznych objęć prowincjonalisty, i na jego entuzjastyczne wykrzykniki odpowiadał:

— Tak się panie niedźwiedzie dusi, a nie za obronę życia dziękuje!...

Gdy się pan Michał cokolwiek upamiętał i uścisków swych ognistych zaprzestał, wtedy dopiero pan Ignacy ujął go bez ceremonji pod rękę i prowadząc ku miastu, prawił do niego:

— A co?... było ciepło?... Gdyby nie ja, byłby cię panie na ćwiarteczki posiekał... na drzazgi!... Masz naukę... nie wlecz się pod okopy bo to niedla ciebie miejsce, a przynajmniej kiedy się włóczysz po ulicach, to od czasu do czasu wstąp na odpoczynek. Inaczej panie zginiesz marnie i przedwcześnie.

W tej chwili właśnie, przechodzili koło jednego z narożnych szynków.

Pan Ignacy zatrzymał się i rzekł:

— Panie, nie wiem kto jesteś i jak się nazywasz....

Szerepa chciał się rekomendować, ale pan Ignacy nie pozwolił mu przyjść do głosu.

— Nie wiem, ale się dowiem — ciągnął dalej, nic pilnego... dość żem jak drugi ojciec, bom ci panie życie ocalił. Ztąd powinniśmy być przyjaciołmi,

a przyjaźń nasza musi przejść przez wszystkie próby i wyjść z nich czysta i cała... Zgoda?...

— Zgoda, — odrzekł pan Michał, ściskając wyciągniętą do siebie dłoń pana Ignacego.

— Pierwszą tedy próbę odbędziem zaraz, prawił Ignacy. — Tam w mieście spróbujemy się na wykwintne trunki, na szampany, tutaj w tej skromnej norze, gdzie na cześć Bachusa niemusujące tylko znajdować się zwykły napoje, — tutaj jest rum jamajka albo czysta z pieprzem... Wstąpisz pan?...

W téj uroczystej chwili, pan Michał byłby przystał na wszystko, coby tylko wybawca jego zaproponował; weszli zatem obydwaj niezwracając bynajmniéj uwagi na to, że miejsce tak ich... ubraniu nieodpowiednie i przed szynkwasem brudnej podokopowej karczmy, przyjaźń świeżo zrodzona przeszła przez próbę pierwszego — kieliszka.

VI.

Przyjaciel i mentor.

Słynne były w starożytności przyjaźnie Kastora i Polluksa, Damona i Pythjasa, Oresta i Pylada; z późniejszych czasów przechowała nam tradycja, pamięć przyjaźni zaprzysięganych przed ołtarzem przez ludzi, którzy pod formą ślubnego braterstwa, w opiekę Bogu oddawali swoje związki wzajemne, czyniąc je sakramentem nieledwie. Słyszeliśmy o ludziach przeszłości, co beczki soli razem z sobą zjadali bez narażenia się jeden drugiemu, lecz oddając należną cześć tym pięknym podaniom przeszłości, zazdrościć ich zamierzchłym wiekom nie mamy bynajmniej powodu.

My także mamy swoich Polluksów i Kastorów...

Pan Michał Szerepa zaprzyjaźnił się z panem Ignacym, a raczej pan Ignacy otoczył swą przyjaźnią pana Michała.

Otoczył... możeby raczej powiedzieć wypadło: oplótł, ogrodził lub osiodłał, pan Michał bowiem wkrótce tak się uczynił od tego związku przycielskiego zależny, że niby wcale nie tracąc samodzielności i wolnej woli, rzeczywiście nic bez woli przyjaciela nie robił.

Młody dziedzic Suchej Woli nie zastanawiał się dotąd jakiemi drogami w życiu pójść mu wypadnie, nie robił jeszcze żadnych na przyszłość widoków, zdając zupełnie na naturalny bieg życia wybór kolei, któremi go popchnie. Pan Ignacy za to miał teorję życia gotową i w swoim młodym przyjacielu, z łatwością znalazł chętnego do jej wprowadzenia w wykonanie ucznia i praktykanta.

— Jesteś młodym i bogatym — mówił do niego, masz więc obowiązki podwójne, względem siebie i względem ludzi...

Jak widzimy, teorja pana Ignacego miała ten sam punkt wyjścia jak wszystkie moralne, arcymoralne i najarcymoralniejsze o obowiązkach życia teorje; nie różniąc się przecież od nich w zasadzie, różniła się przecież znacznie na wnioskach.

— Sobie winieneś, — prawił pan Ignacy dalej, parę lat a może więcej tego, co się bardzo właściwie użyciem młodości nazywa... jest to dług zapisany pod pierwszym numerem w hipotece życia twojego. Ludziom, których wierzytelność na drugiem zahipotekowana miejscu, winieneś gdy dług pierwszy opłacisz, ustatkować się, ożenić się bogato, mieć majątek, żyć wygodnie, jeść smaczno i zostawić jednego albo paru legalnych dziedziców obywatelskiego twego imienia.

Rozumowanie to jedną i drugą stroną, trafiało do przekonania pana Michała, lubo nie wiedział jeszcze co to znaczy użyć młodości, a tem samem i wzmianka o ustatkowaniu się, nie była dla niego zbyt jasną.

— Wszystko to — wykładał znowu Mentor, — okazuje się lepiej w życiu, niż rozwija i wyjaśnia w teorji. Dlatego ciesz się, żeś mnie spotkał. Ze mną i na ulicach Warszawy nie zbłądzisz i na ścieżkach codziennego życia nie tylko nie zginiesz, ale nawet nie zmęczysz się, ani z nudów ziewać nie będziesz. Zaczniem od tego, że ci pokażę świat...

Tu przerwał sobie pan Ignacy.

— *A propos*, ty może zaraz pragnąłeś rozpocząć regularne życie kawalera. na wydaniu?... hę?... chciałeś może wejść w towarzystwa, zapoznać się że sferą do której cię urodzenie przeznacza?... Może ci jaka stryjeczno-wujeczna ciocia powiedziała: żeś ty stworzony do salonu, że twojem przeznaczeniem bywać na ziewających wieczorach karnawałowych u urzędniczek albo właścicielek domów, tańczyć polkę z sentymantalnemi pięknościami, pisać im wiersze do sztambuchów, lub mamy siedzące na kanapie bawić pogawędką o mrozie?... Jeżeli chcesz iść w te sfery, jeżeli klamki salonów, saloników i bawialnych pokoi mają jakiś magnes dla ciebie... idź, idź mój młody przyjacielu... ja cię zatrzymywać nie będę, ostrzegam cię tylko, że do tego świata woskowanych posadzek i woskowych i mumjowanych fizjognomji, nie będę dla ciebie przewodnikiem... Świat ten konwencjonalny to grób, a przynajmniéj więzienie dla wszystkich młodej duszy popędów i pragnień... świat taki nie dla ciebie, a przynajmniej nie teraz jeszcze. Tam są ludzie pobielani, wykrygowani, wykrochmaleni, sztywni, przyzwoici od młodości... słowem tacy jakiemi nie są w gruncie, lecz za jakich chcą żeby ich brano. Szczerości, prawdy, natury życia, nie doszukasz się pomiędzy nimi. Zaślepniesz patrząc na bielidło, nim poznasz czy niem granit, czy piaskowiec, czy wypruchniałą deskę pobielili. Żeby umieć poznawać takich ludzi, żeby się na nich nie oszukać, trzeba wprzód światu spojrzeć w oczy, zobaczyć życie prawdziwe, nagie, bez paryzkich rękawiczek, a nadewszystko bez woalki. Ja ci pokażę ten świat, a wdzięcznym mi będziesz kiedy później zrozumiesz, że od niego zacząć należało.

Prowincjonalista nie zbyt wiele rozumiał z tego potoku wyrazów, przystał jednak nie tyle z przekonania, jak po prostu dla tego, że nie widział racji dostatecznych do zbicia rozumowań, których nie znał najzupełniej podstawy, a gdyby nawet miał jaką rację do ich zbicia, nie byłby się nią posłużył, z wygadanym bowiem panem Ignacym, nie czuł się na sile przeprowadzać dłuższego sporu. Jego Mentor zresztą obiecywał mu jakieś widowisko ciekawe, bardzo ciekawe... jakże się nie miał zgodzić je zobaczyć, on który na wstępie życia, nie miał czasu zrozumieć jeszcze, że ono być może ciekawem albo nudnem widowiskiem.

Odkopywania zaczęły się dopiero w r. 1699, ale ich wkrótce zaniechano.

W roku 1720, przy świdrowaniu studni w Portici, natrafiono na trzy posągi kobiet w ubraniu, które obecnie znajdują się w Muzeum Drezdeńskiém. Rząd neapolitański wzbronił dalszych poszukiwań, a rzeczy pozostały na tém samém stanowisku aż do chwili, gdy Karól III hiszpański, zostawszy królem Obojga Sycylji, pod imieniem Karóla VII, roku 1736, rozkazał wznieść dla siebie pałac w Portici, i gdy przy wybieraniu z tego powodu rowów, natrafiono na gruzy zagrzebanego miasta. Przy umiejętném poszukiwaniu, odkopano niebawem świątynię Jowisza, bogatą w posągi—i teatr zupełnie cały.

W roku 1750, przedsięwzięto odgrzebywanie *Stabies* i *Pompei*, gdzie w tém ostatniém mieście, natrafiono na gruzy amfiteatru, który w swoim czasie mógł pomieścić do 30,000 widzów. Za panowania Józefa Bonapartego (1806 — 1808) i Joachima Murata (1808—1815), prace badawcze na tém polu postępowały bardzo czynnie, lecz skutkiem wypadków politycznych, wstrzymane zostały następnie aż do r. 1828, w którym rozpoczęte nanowo, wielkie i szacowne po dziś dzień dla archeologji wydały już owoce. Pomiędzy odkrytemi budowlami Herkulanum, zasługują na uwagę: 1) trzy świątynie, z których dwie ozdobione są na zewnątrz kolumnami; 2) pomnik grobowy, obwiedziony piedestałami; 3) teatr położony pod dzisiejszém miasteczkiem Resina, obłożony różnokolorowym marmurem i ozdobiony brązowemi statuami ludzi i koni; 4) forum (rynek) prostokątne, otoczone portykami na kolumnach wspartemi, wybrukowane marmurem różnego koloru i przyozdobione wielką liczbą posągów;—wiele bogatych prywatnych mieszkań, z mozaikowym marmurowym brukiem i ścianami malowanemi al-fresco, z pokojami, salami, ogrodami i t. p. Pomimo tysiąca ośmiuset lat, ubiegłych od owéj strasznéj katastrofy zagrzebania, zdaje się jednak jakoby miasto dopiero co wczoraj przez mieszkańców opuszczone zostało, gdyż największa część znajdowanych w niém przedmiotów w wybornym przechowała się stanie, a spotykane rzeczy pospolitego użytku, tém większe jeszcze robią obecnie wrażenie. W jednym domu znaleziono naprzykład mąkę zarobioną na ciasto, ścierkę złożoną, naczynia gliniane wypalane, napełnione zbożem, soczewicą i kaszą, karafkę z wyschłą oliwą, słoik od maści i szklanne naczynie z różem, używane przez dbałe o swe wdzięki panie. Złudzenie nieraz jest tak wielkie, iż prawie się oczekuje ukazania mieszkańców tego nieszczęśliwego miasta. Z odkrytych a przechowanych za szkłem w muzeum w Portici malowideł, szczególniéj odznaczają się następujące wielkie na murze obrazy, przedstawiające: Tezeusza, Minotaura, Telefusa, Herkulesa, Andromedeusza i Perseusza, Dyjanę i Endymiona, Bachusa i dwa arabeski w stylu egipskim. Nawet literatura wzbogaconą została skutkiem tych poszukiwań, albowiem do r. 1828 odkryto najrozmaitszych zwojów papyrusowych i rękopismów 7,756 sztuk, z których jednakże wyczytać zdołano zaledwie 88, zawierających ułamki z dzieł Epikura, Filodema, Demetryjusza, Polistratosa, Fedra, Carneada, Chrisippa i Cycerona.

W *Pompei* odkopano dotąd: amfiteatr, dwa teatry, dwa place otoczone portykami, forum, bazylikę, ośm świątyń i t. p. Wszystko cokolwiek ztamtąd przenieść było można, znajduje się teraz zgromadzone w pałacu Studi, w Neapolu.

Okropną, przerażającą musiała być scena zasypania i pogrzebania żywcem, przez ziejący ogniem krater wulkanu, tych trzech kwitnących niegdyś miast!

W. Brodzki uplastycznia nam to właśnie w swéj rzeźbie: *Ucieczka z Pompei.*

Cała grupa składa się z 8 figur ludzkich i 1 konia (dwóch figur nie widać na rysunku). Gorący popiół sypie się żarem na uciekających. Na koniu, okrywając się płaszczem, siedzi mąż z żoną trzymającą dziecko (na rysunku niewidzialne). Drugie dziecko starsze, spadłe z konia, trzyma się poły płaszcza i nogi ojca i stara się biedz za nim. Ojciec patrzy na nie, nie widząc żadnego sposobu dania mu ratunku. Niemowlę na kolanach matki zupełnie jest spokojne. Pod koniem umieszczone są cztery figury. Uciekający ofiarnik (na rysunku niewidzialny); martwy starzec, ze zwieszoną pod kopytem końskiém głową, — i młodzieniec (na rysunku cokolwiek tylko widzialny) obejmujący lewą ręką młodziutkie dziewczę, uwieńczone kwiatami, aby je wydobyć z pod konia, mogącego ich lada chwila stratować.

Ksawery Drużba.

WYCIECZKA W GŁĄB SERBJI,

1869 roku.

przez

WŁADYSŁAWA KOZŁOWSKIEGO.

(*Dalszy ciąg*).

Dwa te okazy płci pięknéj—były—matka z córką, obie w stroju narodowym, który, za wyjątkiem fezu, noszonego przez kobiety nawet, wcale jest wdzięczny, szczególniéj kaftaniki, złotem lub srebrem wyszywane.

Córka, panna, mogła mieć lat około... przepraszam, o latach panien mówić się niegodzi, więc powiem tylko, że była w tym wieku, w którym rachunek lat poczyna odbywać dziwaczne wibracje około pewnego punktu, stałego mniéj więcéj potąd, aż panna wyjdzie za mąż. Dodać muszę, że nie była wcale ładną, chociaż innego musiał być zdania pewien dandys smederewski, który przez całą drogę nie przestawał jéj trzymać w oblężeniu, chcąc szturmem zdobyć, jeżeli nie serce, to przynajmniéj spojrzenie wymowne. Lecz nie o tém chcę mówić.

Zaledwie że moje panie usiadły na ławeczce, na któréj, przy któréj i pod którą, starały się uprzednio ułożyć swe manatki, w ilości nieprzebranéj, podchodzi do nich mężczyzna lat czterdziestu, w europejskiém ubraniu, witając je zdaleka: *kako ste? szta radite! kamo putujete?*

Moje panie wstały na przywitanie swego poznanika. Matka podaje mu rękę do uściśnienia, jak każe zwyczaj, a córka... całuje go w rękę, jak również każe zwyczaj. I jeżeli dwudziestokilkoletnia panna dokonała téj operacyi z rezygnacyą największą, z niemniejszą... obojętnością poddał się jéj szanowny poznanik.

Po raz to pierwszy zdarzyło mi się widzieć ów przykład patryarchalnego stosunku kobiety do mężczyzny, jaki panuje w Serbii, równie jak i w całéj południowéj Sławiańszczyznie. Stosunek ten wprawdzie po miastach poczyna tracić na swéj pierwiastkowéj szorstkości, w głębi jednakże kraju, po wsiach, przestrzega się z najściślejszym rygorem. W dalszéj méj podróży sam byłem razy kilka zaatakowany przez hoże i dorodne dziewoje, które witając się z nami, chciały nas w ręce całować. Opowiadał mi jeden inżynier, że wczasie swych objazdów po okręgu zajechał pewnego razu na noc do kapitana Srezu (powiatu). Po kolacji, gdy gospodarstwo żegnali swego gościa, udając się na spoczynek, kapitan powiedział do żony, żeby ściągnęła gościowi buty. Nie brakowało jak tylko dobréj woli ze strony gościa, a fakt byłby dokonany. Wogóle mówiąc, położenie kobiety w całéj południowéj Słowiańszczyznie jest więcéj jak gdzie indziéj upośledzone, za wyjątkiem chyba mahometańskiego Wschodu. Stanowisko kobiéty w towarzystwie jest tu żadne; w rodzinie—zakreśla się obowiązkami mamki i kucharki. Pokora i posłuszeństwo względem mężczyzny stanowią podstawę praw i obowiązków kobiéty towarzyskich i rodzinnych. W naradach nad sprawami, dotyczącemi domu, nie przyjmuje ona żadnego udziału, chociaż do niéj należy cały zakres pracy domowéj. Do spadku po rodzicach żadnego nie ma prawa; otrzymuje tylko w posagu pewną kwotę, chociaż w wielu miejscach praktykuje się, nietylko że dziewczyna nie otrzymuje nic w posagu, ale jeszcze za nią pan młody musi rodzicom płacić albo gotówką, albo procentami, stosownie do umowy.

Gdzie kobiéta jest upośledzona, gdzie stosunek jéj do mężczyzny polega na prawie mocniejszego—tam życia towarzyskiego być nie może tam kobiéta nie może wpływać na złagodzenie obyczajów. Jeżeli zaś przykłady czegoś podobnego zdarzają się i w podobném społeczeństwie, to chyba w sposób wyjątkowy i w wypadkach nader rzadkich, trybu rzeczy nie naruszających.

Brzegi serbskie Dunaju od Smeredowa stają się coraz więcéj interesującymi. Napotykają się tu niemal na każdym kroku pamiątki z zamierzchłych stuleci, świadczące o panowaniu w tych stronach Rzymian, którzy kraj teraźniejszéj Serbji zwali *Mezyą niższą.*

Ruiny zamków, gruzy świadczące o wielkich niegdyś miastach gdzie dziś zaledwie małe znachodzą się wioszczyny, nagrobkowe kamienie z łacińskimi napisami, monety rzymskie, ślady dróg bitych, wszystko to silnie oddziaływać musi na wyobraźnią i najżywszy w każdym budzi interes. Płynąc statkiem, nie mogłem zatrzymywać się w miejscach godnych zwiedzenia i zasługujących na sumien-

ne zbadanie. Wyliczam je tu przecież w porządku, jak po sobie idą:

Przy ujściu rzeki *Morawy*, gdzie obecnie leży mała wioseczka *Kulicz*, za Rzymian było miasto zwane *Margum*. Znachodzą się tu liczne starożytności rzymskie.

Przy ujściu *Mlawy*, na lewym jéj brzegu, gdzie obecnie znajdujemy wieś *Kostolac*, było potężne i bogate miasto *Vimancium*. O jego wielkości świadczą ślady murów, ciągnące się daleko po za obręb wsi. Znaleziono tu w r. 1850 kamień nagrobkowy z czasów rzymskich.

Po drugiéj stronie rzeki, naprzeciwko Kostolac, leżało przed czterystu laty miasto *Braniczewo*, od którego nosiła swą nazwę cała ta prowincya, zostająca pod zarządem sławnego *Miłosza Obylicza*, co zabił *Murata* w jego własnym obozie pod *Kossowem*.

Nie dochodząc do Bazyasza, na wyniosłém wzgórzu, panującém nad całą okolicą, znajdujemy z czasów rzymskich, prawie w całości zachowany zamek *Rama*.

Na miejscu dzisiejszego *Gradyszta* było niegdyś miasto *Tabiata*. Przed kilku laty znaleziono tu dwa nagrobkowe kamienie, jeden z niewyraźnym, na wpół zatartym napisem łacińskim, drugi przedstawiający w płaskorzeźbie Achillesa, który ciągnie za sobą ciało poległego Hektora.

Teraźniejsza wioska *Golubac* zajmuje miejsce rzymskiej *Egety*. *Golubac* interesującym musi być dla nas z tego względu, że w pobliżu niego zginął *Zawisza Czarny*, walcząc w szeregach Zygmunta cesarza, który spostrzegłszy wojska Amurata idące na odsiecz Golubcowi, sam pierwszy dał przykład do ucieczki, zostawiając *Zawiszę Czarnego* naprzeciwko niezliczonych tłumów Turków.

O pół godziny drogi od Golubca na południe, w głąb kraju, znachodzi się mała rumuńska wioseczka, *Doryszte*, na której miejscu przed czterystu laty stał dwór Miłosza Obylicza. Nieco opodal istnieje dotąd zbudowany przez niego klasztor *Tumane*, a w pobliżu wioski Śniegotyn źródło zwane do dziś dnia, *banią Miłosza*. Pamięć bohatera Kossowskiego boju przechowuje się żywo w téj okolicy, nawet wśród Rumunów, stanowiących obecnie główny pierwiastek tutejszéj ludności.

Za Milanowcem, prawym brzegiem Dunaju ciągną się ślady drogi *Trajana*, którą on szedł do Dacyi r. 103 po J. Chr. W jedném miejscu tej drogi, niedaleko od osady *Ogradiny*, znachodzi się dotąd wprawiona w skałę tablica żelazna, na któréj wyobrażony jest orzeł i dwie skrzydlate postacie, każda z delfinem obok. Napis na niéj uszkodzony i z trudnością odczytany przez archeologa Beckmana, jest następujący:

Imp. Caesar Divi Neryaef.
Nerya Trajanus Aug. Germ.
Pontif Maximus Trib Pot IIII.
Pater Patriae Cos IIII.
Montis fluvii Anfractibus
Superatis Viam Patefecit.

Wracam się do przerwanego wątka opowiadania.

Gdyśmy odpływali od Smederewa, było już koło dwunastéj. Głód mi począł dokuczać. Ażeby się dowiedziéć co dzieje się z obiadem—schodzę na dół do kajuty. W kajucie jak i na pokładzie było pełno. Towarzystwo tu było rozdzielone na dwie części: jedni obsiadłszy wszystkie stoły, jakie tylko były, najzacięciéj grali w karty, przerywając swoje zajęcie od czasu do czasu entuzyastycznym wykrzykiem, zawierającym brzydkie łajanie w matkę, w ojca, w boga tureckiego i t. p. drudzy znów siedząc lub chodząc rozprawiali o polityce i przerabiali na swój sposób świat cały, jak umieli.

Gra w karty jest ogromnie rozpowszechniona w Serbji. Ma ona licznych wielbicieli po miastach, gdzie w każdym hotelu, w każdéj karczmie, o każdéj porze dnia, zawsze można kogoś znaleźć próbującego szczęścia na zielonym stoliku. Jest to skutek braku towarzyskiego życia.

Co się tyczy brzydkiego łajania w matkę, w ojca i t. p. z najwyszukańszą rozmaitością wypowiadanego—takowe jest tak dalece rozpowszechnione, że spotykasz się z niém nawet w ustach kobiety. Naturalnie, rzadko to się przytrafia w Belgradzie, ale za to na porządku dziennym jest wszędzie indziéj. Nie przesadzę, gdy powiem, że czém jest u naszéj szlachty—panie dobrodzieju, powtarzane niemal za każdém słowem, tém jest u Serba owo łajanie brzydkie.

Doczekałem się w końcu obiadu, który lubo zawiódł mój apetyt, obciążając żołądek podejrzanéj wartości produktami, za to nie zawiódł méj sakiewki, wyciągając z niéj dla ulżenia ciężaru niepodejrzanéj wartości guldeny. (d. c. n.)

ŻÓŁTY WUJASZEK.

OPOWIADANIE,

przez

Władysława Łozińskiego.

(Dalszy ciąg).

— Niech pan zaczeka — usłyszałem głos nieznajomy — zaraz uwiadomię pana generała, który zapewne tu niedługo zejdzie, jeźli już ubrany...

— To pan generał nie wstał jeszcze?—usłyszałem głos drugi, znajomy mi bardzo dobrze.

Był to głos pana mecenasa Szalborskiego. Poznałem go zaraz, bo ostry był i sykliwy nieco.

— Wczoraj późno wrócił do domu—odezwał się głos nieznajomy.—Pan generał był na balu u p. feldmarszałka-porucznika Arncourta...

Rozmowa, jak to widać, toczyła się więc o rzeczy obojętnéj i drobiazgowéj—ale dla mnie była ona niezmiernie ciekawą. Zawierała bowiem wskazówki, które mogły mi może wytłumaczyć wczorajsze nocne zjawisko.

Mówiono o generale i o balu, na którym był wczoraj. A toż mój upior właśnie przeglądał się w zwierciadle, jakby chciał obejrzeć swój mundur paradny! Ależ wnioskując tak, musiałbym przypuszczać że to był istotnie żywy: „żółty wujaszek" którego konterfekt poznałem w Basztokolu!... Czy to być mogło?... Miałżeby „żółty wujaszek" żyć jeszcze istotnie, —on, starszy znacznie od pana marszałka Oleszy?...

— Nic innego—mówiłem sam do siebie w duchu — jak tylko że moje widziadło fantastyczne, moja mara nocna, spływa się dziwnym sposobem z pewnemi wskazówkami rzeczywistemi i składa się tak razem na igraszkę fantazyi i przypadku... Czekajmy co daléj będzie!

Usłyszałem teraz, jak jedna z osób wyszła z kancelaryi, zamknąwszy drzwi za sobą. Pozostał zapewne Szalborski, któremu czekać polecono. Słyszałem jego kroki. Chodził po pokoju a kilka razy zbliżył się nawet do stołu, pod którym się schowałem. Raz stanął tuż przy nim, przerzucając nademną papiery, tak, że widziałem koniec jego stopy, jak wysuwała się ku mnie z pod rąbka zielonego sukna... Wtedy lęk mnie zbierał niemały, aby mnie jakim trafem nie odkrył i tłumiłem prawie oddech w piersiach.

Nareszcie usłyszałem, jak ktoś drugi nadchodził. Krok był ciężki, powolny. Zdawało mi się, jakoby stopy idącego — raczéj się suwały po podłodze, niżeli stąpały. Drzwi skrzypnęły.

— Sługa najniższy Jaśnie Wielmożnego pana generał-majora — usłyszałem głos mecenasa Szalborskiego, zniżony do pokornego tonu.

— Witam aspana—odpowiedział głos nieznany mi, ostry i donośny jeszcze, ale mocno drżący i złamanego tonu, tak, iż kombinować mogłem, że mówi to starzec jakiś.

— Ścielę się do stóp JW. pana generała—mówił Szalborski— i przepraszam, że tak rano nachodzę, ale nie wiedziałem...

— Nic nie szkodzi, panie mecenasie—odpowiedział generał,— bo jużcić musiał nim być ów drugi rozmawiający, skoro go pan Szalborski tak tytułował. — Nie lubię spać długo; starego choć siły opuszczają, dawny obyczaj żołnierski się trzyma... Co mi aspan powiesz, panie Szalborski.

— Najpierw przychodzę powitać JW. pana generała, którego raczéj panem i dobrodziejem moim, niż klijentem nazywać mi się godzi....

— Daj wasze pokój tym zbytnim rewerencyom i bierz się do rzeczy...

— Najpierw wyrazić muszę żal mój —ciągnął Szalborski — że JW. pan generał zastał pałac swój nieprzygotowany na przyjęcie... Ale JW. pan generał przyjechał tak nagle i niespodziewanie...

— Nie frasuj się tém wcale. Niedługo zabawię we Lwowie, bo nie ma tu u was co robić. Na kilka dni kwatera wystarczy.

— Przyszedłem daléj z zapytaniem — mówił pan mecenas — czyli JW. pan generał raczy wysłuchać raportu i przejrzy rachunki, które mu mam złożyć?...

— Sprawisz się acan co do tego z moim adjutantem, panem lejtnantem Kremoitz.

— Jest wszakże jedna sprawa—zauważał p. Szalborski—która wymaga osobistéj konferencyi z JW. panem generałem.

— Tandem, słucham pana...

nych. Gdy wyjdzie całość *Pomocy własnéj*, nie zaniedbamy obszernej o niéj pomówić, dziś to tylko powiemy, że dzieło to powinno się znajdować w ręku wszystkich umiejących czytać; w ręku tych co cierpią i pracują, bo pierwsi znajdą w niem balsam na swoje cierpienia, drudzy nowy bodziec a zarazem osłodę do pracy. *Pomoc własna* jest przystępną dla wszystkich kieszeni, bo zeszyt pojedyńczy kosztuje tylko 25 kopiejek (50 groszy), całość zaś składająca się z sześciu zeszytów, wychodzących co trzy tygodnie, będzie kosztowała 1 rs. 50 kop. (złp. 10).

† **Roman Zmorski.** W dniu 19 Lutego r. b. umarł w Dreznie po całorocznej blisko chorobie, znany zaszczytnie w piśmiennictwie naszem, jako poeta wysokiego talentu, jako wzorowy tłumacz poetów serbskich, jako podróżnik po Sławiańszczyznie i literat, Roman Zmorski. Śmierć go zabrała w samej sile wieku, liczył bowiem dopiero lat 42. Zawód jego literacki, jakkolwiek nieobfity co do liczby płodów, był długim; obejmował blisko ćwierć wieku. W dwudziestym roku życia Roman Zmorski był już znany czytelnikom i już wtedy zdobył sobie to imię, z jakiem dziś przechodzi do dziejów literatury naszej. W d. 21 z. m. zwłoki jego złożone zostały na cmentarzu katolickim przedmieścia Friedrichstadt w Dreznie, w bliskości prochów Kazimierza Brodzińskiego.

Pozostawiając innym pismom ocenienie stanowiska jakie zajmował Roman Zmorski w naszem piśmiennictwie, czuliśmy się obowiązani zapisać w Opiekunie Domowym wiadomość o śmierci pisarza, który pisma naszego był szczerym i prawdziwym przyjacielem i któremu tylko długotrwała choroba, niedozwoliła wesprzeć swoim talentem prac i usiłowań naszych.



Sowa. (do Str. 78-ej) – Wyciął Walter, w drzeworytni Minhejmera.)

— **Szandolina.** Oprócz naftaliny, kamfiny i ligroiny, przybywa jeszcze jeden rodzaj płynu oświetlającego, to jest szandolina, wynaleziona przez Francuza Szandora zamieszkałego w Rossji. W porównaniu że świecami stearynowemi, szandolina daje oszczędności pięć groszy na sześciu groszach. Pojawiła się ona dopiero w handlu p. Grabowskiego w Warszawie na Krak. Przedmieściu i funt tego płynu kosztuje 20 kopiejek. Szandolina pali się bez knota jak ligroina, ale wymaga lamp oddzielnego przyrządu, które także do składu tegoż p. Grabowskiego nadeszły. Z tej okoliczności nadmienić winniśmy o jednej rzeczy. To jest że po zjawieniu się u nas każdego takiego nowego wynalazku, ogół długo nic o nim niewie i postępuje zupełnie po omacku. Byłoby bardzo do życzenia, aby uczeni ludzie, chemicy i inni, których przecie w Warszawie przy Szkole Głownéj nie brak, zechcieli o każdym takim wynalazku natychmiastowe dawać ogłoszenie swego zdania, aby wykazali jak dalece ten a ten wynalazek może być użytecznym, w czem mianowicie szkodliwym, jak go zastósowywać i t. d. Wracając się do Szandoliny, szanowni uczeni oddaliby nam prawdziwą przysługę, gdyby po stósownych próbach, objaśnili nas: z czego składa się Szandolina, czy użycie jej nie przedstawia jakich niebezpieczeństw i jakie mianowicie; czy istotnie daje ona jaką oszczędność w użyciu w stosunku do świec łojowych, stearynowych, nafty, ligroiny i t. p. O tem wszystkiem ogół nic niewie, a spuszczać się musi jedynie na sumienność handlujących lub wynalazców, którzy czasem umyślnie lub mimowolnie pomylić się mogą i uwieść publiczność.

ZAGADKA.

Przy jednym stoliku w Dolinie Szwajcarskiéj siedziało towarzystwo składające się: z 1 dziadka, 2 ojców, 2 matek, 4 dzieci, 3 wnuków, 1 brata, 2 sióstr, 2 synów, 2 córek, 2 żonatych mężczyzn, 2 zamężnych kobiet, 1 teścia, 1 świekry i 1 synowej. Każda z tych osób wzięła sobie z tacy, którą kelner obnosił, po jednej szklance herbaty, a gdy przyszło do obrachunku, kelner żądał zapłaty tylko za 7 szklanek — jak to być mogło?

Rozwiązanie.

Towarzystwo składało się: z jednego starca i jego żony, tudzież syna ich, z żoną i trzema dziećmi, z których jedno było chłopczykiem, a pozostałe dwa dziewczynkami.

Myśli i Zdania.

— W słowach tylko chęć [widzim, w działaniu potęgę;
Trudniej dzień dobrze prze- [żyć, niż napisać księgę.

—

— Nauką i pieniędzmi dru- [dzy się zbogacą;
Mądrość musisz sam z sie- [bie, — własną dobyć pracą.

—

— Młodzieńcze! dwie po- [dróże czekają na ciebie:
Jedna z duszy w wir świata — druga powrót w siebie.

PODSŁUCHANE GDZIE SIĘ ZDARZY.

(*W Popielec na moście.*)

Obdartus. Panie, panie klocek panu uwiesili.

Pan Andrzej (*któremu chustka fularowa wygląda z kieszeni, ogląda się za siebie i maca.*) Gdzie znów?.. nie widzę.

Obdartus. Ależ panie, taka wielka indycza łapa!

Pan Andrzej. Bądź łaskaw odczep.

Obdartus (*wyciąga z kieszeni fular i chowa szybko za pazuchę, a następnie daje panu Andrzejowi łapę indyczą, wyjętą z rękawa*). Patrz pan jaka szkaradna.

Pan Andrzej. Dziękuję ci, mój kochany, masz tu na piwo (*daje mu dziesiątkę, obdartus odbiega szybko*).

---

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor. Adam Mieczyński.